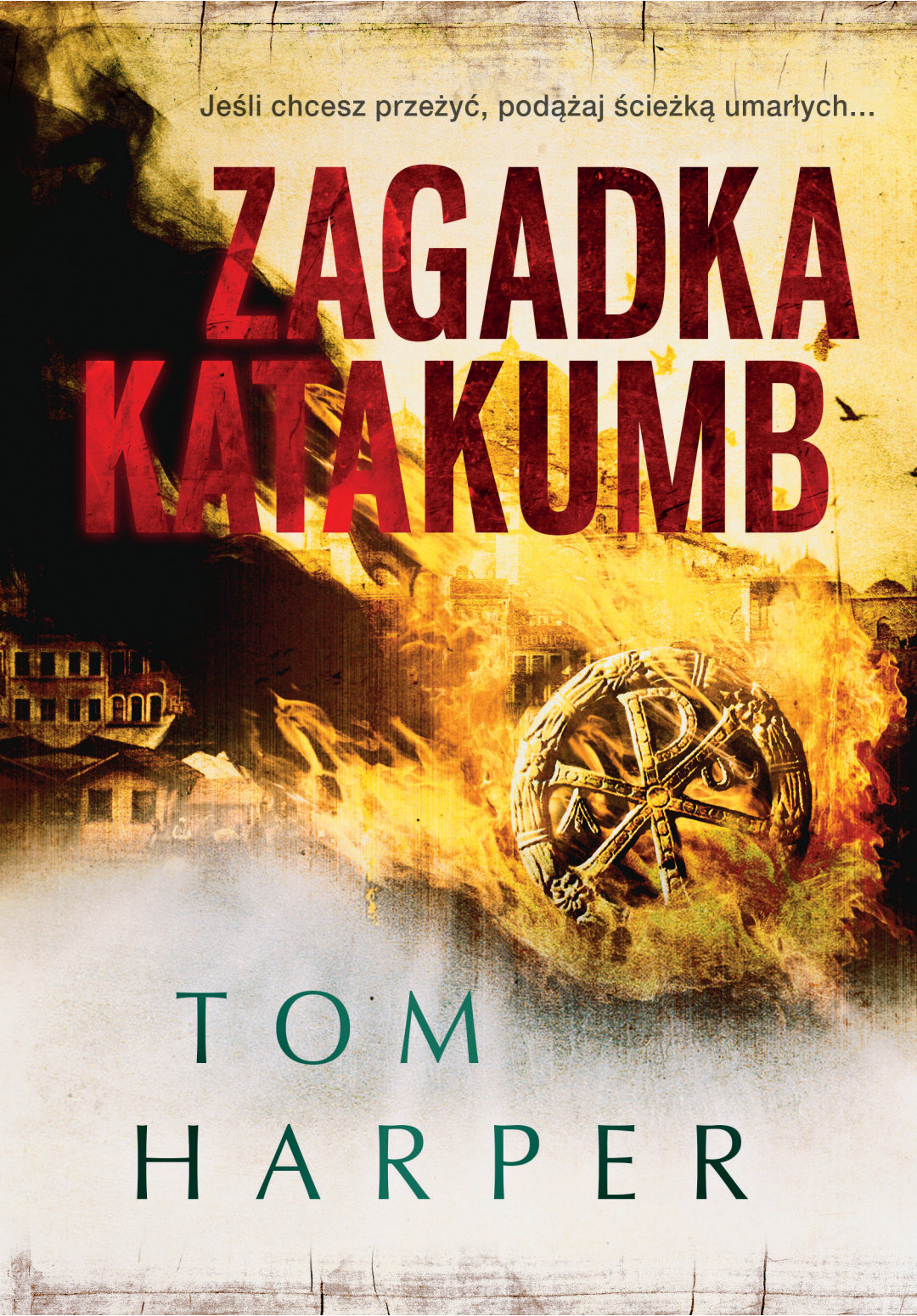


Jeśli chcesz przeżyć, podążaj ścieżką umarłych...

ZAGADKA KATAKUMB



T O M
H A R P E R

I

Prisztina, Kosowo — współczesność

Wyrywanie się z pracy w piątkowe południe było luksusem, do którego Abby nie zdążyła jeszcze przywyknąć.

Od dziesięciu lat praca oznaczała dla niej długie dni w ponurych zakątkach świata i wysłuchiwanie zdruzgotanych ludzi, którzy przeżywali na nowo niewyobrażalne okrucieństwa. Wieczory spędzone przy laptopie w kontenerach udających biuro, w których prażyła się albo marzła, ścierając z ludzkich historii krew i łzy, aby stały się suchymi raportami nadającymi się na materiał dowodowy dla Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Nigdy nie uciekała od obowiązków. Nie liczyła już, ile razy dręczyły ją koszmary, ile razy w środku nocy klęczała nad przenośną toaletą, próbując wyrzucić z siebie wspomnienie tego, co widziała. Na liście strat poniesionych przez te lata mogła zapisać kilka obiecujących związków, małżeństwo i własną wrażliwość. Ale zawsze następnego dnia rano szła do pracy.

Teraz to był już zamknięty rozdział. Przeniosła się do misji Unii Europejskiej w Kosowie, o nazwie EULEX, aby uczyć obywateli Kosowa, jak zostać wzorowymi Europejczykami. Owszem, w Kosowie doszło do wielu zbrodni wojennych, ale tymi sprawami zajmował się już ktoś inny. Abby współpracowała z cywilnymi sądami i rozwikływała zagmatwane kwestie własności po wojnie. Michael nazywał jej stanowisko „biurem rzeczy znalezionych”. Nie przeszkadzały jej takie docinki. Przynajmniej mogła w nocy spać.

Poskładała dokumenty i zamknęła je w szafce. Sprzątnęła rzeczy z biurka, żeby w weekend nie przeszkadzały sprzątaczkom.

Pozamykać, powylaczać, zostawić. Zanim wyłączyła komputer, zauważyła nowy e-mail od dyrektora. Zignorowała go — to też był luksus. Postanowiła zająć się nim w poniedziałek. Był piątek, druga po południu, i tydzień pracy właśnie dobiegł końca.

Samochód Michaela czekał na nią przed biurem. Czerwony porsche kabriolet, model z 1968 roku, prawdopodobnie jedyny na Bałkanach. Wóz był odkryty, mimo że nad miastem zbierały się burzowe chmury. Kiedy Abby ukazała się w drzwiach, Michael uruchomił silnik i rozległ się przeraźliwy warkot, na dźwięk którego niewątpliwie wzdrygnęłaby się z zażenowaniem, gdyby nie była taka szczęśliwa. Cały Michael. Wskoczyła do samochodu i pocałowała go, czując na policzku kłujący dotyk szpakowatego zarostu. Kilka osób wychodzących z biura przystanęło, by popatrzeć — nie wiedziała, czy na porsche, czy na nią. Michael był od niej dwadzieścia lat starszy i tak wyglądał, ale wiek mu służył. Zmarszczki podkreślały to, co było w nim najlepszego: swobodny uśmiech, błysk beztroski w oczach, pewność siebie i siłę. Kiedy zaczął siwieć, przestał się strzyć i założył złoty kolczyk. Twierdził, że nie chce wyglądać zbyt dostojnie. Abby żartowała, że wygląda jak pirat.

Ujął ją pod brodę i lekko obrócił jej głowę, żeby spojrzeć na szyję.

— Założyłaś naszyjnik.

Powiedział to z zadowoleniem. Przed tygodniem podarował jej naszyjnik, misterny złoty labirynt ozdobiony pięcioma czerwonymi szklanymi paciorkami. Pośrodku widniał monogram chi-rho, jeden z najstarszych symboli chrześcijan, chociaż Abby nie wydawało się, by Michael był religijny. Naszyjnik wydawał się wiekowy. Złoto było ciemne i lśniące jak miód, czerwone szkło zmatowiało. Gdy spytała Michaela, skąd go wzięł, uśmiechnął się krzywo i odpowiedział, że dostał od jakiegoś Cygana.

Kątem oka dostrzegła swoją czarną torbę podróżną na tylnym siedzeniu obok jego aktówki.

— Dokąd się wybieramy?

— Nad Zatokę Kotorską. Do Czarnogóry.

Skrzywiła usta.

— To sześć godzin jazdy.

— Niekoniecznie. — Wyjechał z parkingu, mijając strażnika w

granatowej marynarce i czapce bejsbolowej. Ten z podziwem spojrział na wóz i zasalutował. Na tle nijakich służbowych sedanów należących do pracowników unijnych czerwone porsche wyróżniało się niczym przedstawiciel gatunku zagrożonego wymarciem.

Prowadząc jedną ręką, Michael sięgnął po piersiówkę tkwiącą obok ręcznego hamulca. Jego dłoń musnęła jej udo, które ukazało się spod podwiniętego rąbka letniej sukienki.

— Przyrzekam, że warto.

□ □ □

Być może miał rację. Na tym właśnie polegał urok Michaela: choćby miał najbardziej szalone pomysły, zawsze chciało się mu wierzyć. Gdy tylko wydostali się z korków w Prisztinie, pokonawszy slalomem gęsty ruch z brawurą, na jaką nie wazyli się nawet miejscowi — zdecydowanie najgorsi kierowcy w Europie — Michael wcisnął gaz do deski i popuścił cugli silnikowi. Abby wtuliła się w fotel i patrzyła, jak mijają kolejne kilometry. Mknęli z opuszczonym dachem, ścigając się z wiatrem i uciekając przed burzą, która czaiła się tuż za nimi, ale nie zdołała ich wyprzedzić. Przecięli równinę Kosowa, dotarli do pogórza i ruszyli w stronę gór, które wbiwały w czerwieniejące niebo kulę zachodzącego słońca. Na granicy Czarnogóry Michael rzucił celnikom kilka słów i po chwili pędzili dalej.

Znaleźli się wysoko w górach. Owionęło ich zimne powietrze; śnieg na szczytach nie uległ nawet sierpniowemu ciepłu. Michael nie podnosił dachu, ale na cały regulator odkręcił ogrzewanie. Abby znalazła pod nogami koc i się przykryła.

Nagle zobaczyła. Droga skręciła w skalisty wąwóz, a w dole ukazała się zatoka przysłonięta cieniem wznoszących się nad nią gór. Abby dostrzegła tylko światła jachtów i statków wycieczkowych skupione w zatoczkach i przy plażach okalających wodę jak fosforyzujące glony.

Michael zwolnił i ostro skręcił w lewo. Abby zaparło dech w piersi: wydawało jej się, jak gdyby wóz miał za chwilę spaść z klifu. Ale była tam gruntowa droga prowadząca do żelaznej bramy w murze ozdobionym sztukaterią. Michael pogrzebał w schowku, szukając

pilota. Brama rozsunęła się przed nimi.

Abby uniosła brwi.

— Często tu przyjeżdżasz?

— Jestem tu pierwszy raz.

Przez otwartą bramę Abby ujrzała płaski dach domu, upiornie biały w gęstniejącym mroku. Budynek stał na cyplu w połowie zbocza — jedynym miejscu po tej stronie zatoki, gdzie można było zbudować dom. Na drugim brzegu Abby zobaczyła blask świateł miasta i przedmieść rozsianych na wzgórzu. Po tej stronie zatoki nie było nic.

Michael zatrzymał samochód na pasie żwiru przed domem. Wyciągnął z kieszeni klucz, którego nigdy wcześniej u niego nie widziała, i otworzył masywne dębowe drzwi.

— Wejść pierwsza.

Zewnętrzny wygląd willi nie zapowiadał tego, co czekało na nią w środku. Pracując w Prisztinie za unijną pensję dla pracowników misji zagranicznych, Abby przywykła do wygodnych warunków, ale ujrzała luksus na zupełnie innym poziomie. Zielone i różowe płyty marmuru na podłodze tworzyły skomplikowane geometryczne wzory. Wydawało się, jakby dom urządzono dla olbrzymów: fotele i kanapy były tak głębokie, że można było utonąć w nich, przy mahoniowym stole w jadalni mogłoby zasiąść dwadzieścia osób, a na ścianie wisiał największy telewizor, jaki Abby w życiu widziała. Naprzeciwko z równie ogromnej złotej trójdzielnej ikony spoglądali prawosławni święci.

— Ile cię to kosztowało?

— Ani grosza. Dom należy do znajomego włoskiego sędziego. Udostępnił mi go na weekend.

— Przyjeżdża ktoś jeszcze?

Michael rozpromienił się w uśmiechu.

— Mamy dom tylko dla siebie.

Wskazała aktówkę, którą wziął ze sobą.

— Mam nadzieję, że nie zamierzasz tu pracować.

— Zaczekaj, aż zobaczysz basen.

Rozsunął szklane drzwi. Abby przeszła przez nie i stłumiła okrzyk zaskoczenia. Taras z basenem za willą sięgał krawędzi klifu. Z trzech stron otaczała go pseudoklasyczna kolumnada: żłobione kolumny z

korynckimi głowicami, które nie pasowały do nowoczesnej architektury domu. Z czwartej strony był klif i rozciągająca się pod nim zatoka. W półmroku basen wyglądał, jakby płynął prosto do morza. Nie zamykała go żadna balustrada.

Abby usłyszała za plecami ciche pstryknięcie, gdy Michael dotknął włącznika. Woda załśniła oświetlona reflektorami ukrytymi w ścianach basenu. Abby zajrzała do środka i zobaczyła drobną czarno-białą mozaikę przedstawiającą podmerski świat nimf i delfinów, syren i rozgwiazd oraz boga z włosami z wodorostów w rydwanie ciągniętym przez cztery koniki morskie. W migoczącym świetle wydawało się, że monochromatyczne postacie tańczą pod wodą.

Za kolumnadą rozbłyły następne światła. W każdej niszy stał marmurowy posąg na marmurowym cokole: Herakles odziany w skórę lwa i wsparty na swojej maczuzie; Afrodyta z obnażonym biustem, ściskająca szatę, która jakimś sposobem zsunęła się jej z bioder; Medea z kłębem węży wypełzających z jej włosów. Rzeźby wyglądały solidnie, ale gdy Abby dotknęła jednej z nich, poczuła, że posąg drży w posadach, jak gdyby lada powiew wiatru mógł go przewrócić. Wzdrygnęła się.

— Ostrożnie — ostrzegł Michael. — Już takich nie robią.

Abby parsknęła śmiechem.

— Przecież to nie mogą być oryginały.

— Podobno są, co do jednego.

Oszołomiona Abby minęła milczące figury. Doszła do końca tarasu i spojrzała w dół. Klif był tak urwisty, że nie widziała nawet jego podnóża, tylko srebrzyście pieniające się fale rozbijające się o skały. Zadrzała. Letnia sukienka była stanowczo za cienka na koniec sierpnia.

Za sobą usłyszała huk i coś przeleciało jej przed twarzą, prawie ocierając się o policzek. Na chwilę wróciła myślą do Freetown, Mogadyszu albo Kinszasy. Krzyknęła cicho i obróciła się, omal nie tracąc równowagi na odsłoniętej krawędzi klifu. Kurczowo chwyciła się najbliższej kolumny.

— Wszystko w porządku?

Michael stał nad brzegiem basenu z dwoma wąskimi kieliszkami do szampana w jednej ręce i odkorkowaną butelką pol rogera w drugiej.

— Nie chciałem cię przestraszyć. Pomyślałem sobie, że możemy

poświętować.

Co chciał świętować? Abby oparła się o kolumnę i przyłgnęła do niej, serce nadal tłukło jej w piersi. Nocny wiatr przykleił jej do szyi złoty naszyjnik, a przez głowę przemknęła jej szalona myśl. Czyżby zamierzał się oświadczyć?

Michael nalał szampana i wcisnął jej kieliszek do drżącej dłoni. Wino przelało się przez krawędź i ściekło jej na palce. Michael otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Abby sączyła szampana, a on patrzył w morze, jak gdyby czegoś szukał. Na horyzoncie ostatnia smużka światła słonecznego błysnęła i zniknęła.

— Jestem głodna.

□ □ □

Michael przyniósł z samochodu torbę termiczną i wkrótce w domu rozeszły się zapachy smażonego czosnku, krewetek i ziół. Abby piła i patrzyła, jak gotuje. Szampan szybko się skończył. W torbie była jeszcze butelka sancerre, która w niedługim czasie też wyschła. Abby znalazła na tarasie włącznik ogrzewania i zjedli kolację nad basenem. Siedziała z bosymi stopami w wodzie, a od kolumn odbijało się drgające światło i gwiazdy skrzyły na niebie.

Pod wpływem jedzenia i wina zaczęła się rozluźniać. Kiedy się ochłodziło, Michael rozпалиł w kominku w salonie i usiedli na kanapie, patrząc na gwiazdy nad zatoką. Abby zwinęła się w kłębek jak kot, z głową na jego kolanach i przymkniętymi oczami, a on gładził jej włosy. Masz trzydzieści dwa lata, napominał ją cichy głos, nie siedemnaście. Wszystko jedno; było jej przyjemnie. Przy Michaelu nie miała żadnych obowiązków. Dzięki niemu żyło się łatwiej.

Znacznie później — gdy osuszyli kolejną butelkę wina, światła w mieście na drugim brzegu zatoki pogasły, a po ogniu w kominku pozostał tylko żar — Abby dźwignęła się z kanapy. Zachwiała się; Michael wstał i ją podtrzymał. Zważywszy na ilość wypitego wina, zaskakująco mocno trzymał się na nogach.

Otoczyła go ramionami i pocałowała w szyję.

— Idziemy do łóżka? — Wiedziała, że jest pijana, ale było jej dobrze. Pragnęła go. Zaczęła niezdarnie rozpinąć guziki jego koszuli, ale wymknął się z jej objęć i obrócił ją twarzą do siebie.

— Jesteś nienasycona — upomniał ją.

Zaprowadził Abby do sypialni, odpiął naszyjnik, a potem delikatnie położył ją na łóżku. Próbowwała pociągnąć go na siebie, ale się odsunął.

— Dokąd idziesz?

— Nie jestem śpiąca.

— Ja też nie jestem śpiąca — zaprotestowała. Ale to było kłamstwo. Kiedy pocałował ją na dobranoc i zamknął drzwi, już spała.

□ □ □

Obudził ją chłód. Leżała w sukience na pościeli, czuła na skórze zimno bijące z klimatyzatora. Obróciła się na bok, szukając ciepła Michaela, ale go nie znalazła. Po omacku sprawdziła całe łóżko, aż dotknęła stolika nocnego po drugiej stronie.

Łóżko było puste.

Leżała przez chwilę, próbując się zorientować w obcym pokoju. Szukała światła, ale bezskutecznie. Słyszała tylko szum klimatyzacji i tykanie zegara przy łóżku. Fosforyzujące wskazówki pokazywały za kwadrans czwartą.

Nagle usłyszała coś jeszcze — szmer czyjegoś głosu. Nasłuchiwała, łowiąc dźwięki obcego domu. To chyba były dwa głosy, może rozmowa? A może to tylko szum fal rozbijających się o skały.

Telewizor. Pewnie Michael coś oglądał i zasnął. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, dostrzegła słaby niebieski blask sączący się z korytarza.

Wciąż półprzytomna od snu i alkoholu zastanawiała się, co zrobić. Coś jej mówiło, żeby go tam zostawiła i żeby obudził się zeszywniały i samotny. Ale bez niego w łóżku było zimno.

Wstała. Boso pobiegła korytarzem do salonu. Gigantyczny telewizor na ścianie był włączony i wypełniał pokój błękitnym diodowym blaskiem; w srebrnej popielniczce leżało kilka niedopałków. Na skórzanym kanapie zobaczyła głębokie wgniecenie w miejscu, gdzie prawdopodobnie leżał Michael.

Ale teraz go nie było. Telewizor był wyciszony.

Więc co słyszałam?

Lekki podmuch wiatru przyniósł nocne zapachy: jaśminu, fig i chloru. Światła na zewnątrz wciąż się paliły. Drzwi były otwarte.

Abby zobaczyła Michaela, który stał przy basenie, paląc kolejnego papierosa. Teczka, którą wcześniej miał w samochodzie, leżała otwarta obok na metalowym stoliku. Jej zawartość oglądał jakiś mężczyzna w białej koszuli i czarnych spodniach.

Abby wyszła na taras, nadal chwiejąc się na nogach od alkoholu krążącego w jej żyłach. Tuż za progiem zawadziła bosą stopą o jakiś niewidoczny w półmroku przedmiot. Wrzasnęła z bólu i zaskoczenia. Pusta butelka po szampanie potoczyła się po podłodze i z pluskiem wpadła do basenu.

Obydwie głowy natychmiast zwróciły się w jej stronę.

— Przeszkadzam?

— Wracaj do środka! — krzyknął Michael.

W jego głosie brzmiał rozpaczliwy ton, lecz Abby nie rozumiała. Zrobiła dwa kroki naprzód i stanęła w blasku basenowych reflektorów. Odśloniła się. Mężczyzna w białej koszuli sięgnął za plecy. Gdy jego dłoń znów się ukazała, lśnił w niej czarny pistolet.

To był ostatni wyraźnie zapamiętany przez nią szczegół. Wszystko, co stało się potem, zatarło się w jej pamięci i rozpadło na pojedyncze obrazy. Michael pchnął mężczyznę do tyłu i pocisk chybił celu; stolik przewrócił się, a zawartość teczki wysypała się na posadzkę. Jeśli nawet Abby dostrzegła, co było w środku, nie zwróciła na to uwagi. Odkoczyła, poślizgnęła się na gładkich płytkach i wpadła do basenu.

Mocno uderzyła w tafłę wody. Wymachując ramionami, zniknęła pod powierzchnią. W gardle poczuła smak chloru i zaczęła się krztusić. Sukienka owinęła się wokół niej jak całun.

Wreszcie wynurzyła się i popłynęła do brzegu. Dyskretnie oświetlone morskie nimfy na dnie przyzywały ją do siebie. Wyciągnęła nagle ramiona w stronę krawędzi basenu i wygramoliła się z wody.

Leżąc na brzegu, widziała wszystko z ziemi. Otwartą aktówkę i przewrócony stolik; marmurowych bogów spoglądających na nią z góry. Na przeciwległym końcu tarasu dwaj mężczyźni zmagali się ze sobą nad przepaścią. Michael wymierzył cios, ale nie trafił; jego przeciwnik złapał go za rękę i wykręcił za plecy, odwracając go twarzą w stronę klifu. Przez sekundę stali obaj na krawędzi urwiska jak para kochanków podziwiająca zachód słońca. Po chwili mężczyzna gwałtownym ruchem podciął Michaelowi nogi i pchnął go do przodu.

Michael potknął się i zaczął wymachiwać rękami. Niemal udało mu się odzyskać równowagę i chwiał się jak ptak ze złamanym skrzydłem. Niecierpliwy napastnik chciał mu zadać ostateczny cios, ale okazało się, że nie musi. Michael, nie wydając żadnego dźwięku, jakby życie już go opuściło, przechylił się nad krawędzią klifu i zniknął.

Abby wrzasnęła; nie potrafiła się powstrzymać. Mężczyzna usłyszał ją i się odwrócił. Poruszał się ze spokojem i precyzją. Podczas szamotaniny z Michaielem upuścił broń — teraz ją podniósł. Sprawdził zamek i magazynek. Wyrzucił z komory łuskę i przeładował.

Abby poderwała się z ziemi. Jej ciało oblepiała mokra sukienka, krępując ruchy. Musiała uciec, ale dokąd? Do samochodu? Nie wiedziała, gdzie Michael zostawił kluczyki. Nie miała nawet czasu wrócić do domu. Tamten szedł wzdłuż basenu z uniesioną bronią. Dokładnie w chwili, gdy Abby rzuciła się między kolumny, padł następny strzał. Rozległ się trzask pękającego kamienia.

Biegła pochylona, chroniąc się za kolumnami i cokołami posągów. Czowała się jak cel na strzelnicy — tyle że mężczyzna nie strzelał. Skończyła mu się amunicja?

Na końcu kolumnady przystanąła. Wznosił się nad nią marmurowy Jowisz ściskający w ręku piorun. Usłyszała zbliżające się miarowe kroki.

Przeszedł ją lodowaty dreszcz zgrozy i zrozumiała, dlaczego nie strzelał. Utknęła w miejscu bez wyjścia. Skuliła się za posągiem. Kroki umilkły.

Najgorsza ze wszystkiego była cisza.

— Czego chcesz?! — zawołała.

Żadnej odpowiedzi. Z przemoczonej sukienki kapąła woda, tworząc kałuże u stóp Abby. Na co czekał?

Wydawało się jej, że wie, co to znaczy stanąć w obliczu śmierci. Milion razy słyszała takie opowieści i skrupulatnie je rejestrowała. Ale ludzie, którzy dawali świadectwo, przeżyli. Niektórym udało się uciec, zanim nadeszli mordercy; inni leżeli nieruchomo na pobojowisku, udając martwych, czasem wiele godzin, gdy ginęły ich rodziny i sąsiedzi. Nie porzucili nadziei.

Miała tylko jedną szansę. Oderwała się od cokołu, zgięła się w pół i gwałtownie obróciła, naciskając na posąg całym ciężarem ciała.

Statua zakołysała się, przechyliła i runęła. Kamienny bóg spadł z hukiem na posadzkę i roztrzaskał się na kawałki. Napastnik odskoczył, tracąc równowagę.

Abby już biegła. Błyskawicznie pokonała ostatnie kilka metrów i wpadła do domu. Gigantyczny telewizor na ścianie pokazywał obrazy wojny i zemsty, zupełnie obojętny na dramat, który tuż obok rozgrywał się naprawdę.

Dokąd teraz?

Uzbrojony mężczyzna za szybko się pozbierał. Pierwszy pocisk strzaskał okno za jej plecami. Drugi rozorał jej ramię i mocno szarpnął ciałem, odwracając ją. Zobaczyła go, jak wchodzi przez rozbite okno.

— Błagam — jęknęła. Chciała uciekać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. — Dlaczego to robisz?

Wzruszył ramionami. Miał czarny wąsik, a na prawym policzku pieprzyk, z którego wyrastały włoski. Jego ciemne oczy spoglądały na nią beznamiętnie.

Przemknął jej przez myśl świadek, z którym rozmawiała przed kilkoma laty, siwowłosa kobieta z plemienia Hutu, przygotowująca posiłek w obozie w dżungli gdzieś między Kongo a Rwandą. „Nigdy nie straciła pani nadziei” — powiedziała wtedy z podziwem Abby, a kobieta tylko pokręciła głową. „Miałam szczęście. Inni nie. To jedyna różnica”.

Mężczyzna uniósł broń i strzelił.

II

Rzymska prowincja Mezji — sierpień 337 roku

Jeszcze jest sierpień, ale jesień już nadeszła. Jak każdy stary człowiek boję się tej pory roku. Zapadają ciemności, noce robią się dłuższe i w ruch idą noże. W takie wieczory jak dziś, kiedy chłód sprawia, że odzywają się dawne rany, udaję się do łaźni i rozkazuję niewolnikom rozpalić ogień. Basen jest pusty, ale siadam na brzegu i polewam wodą rozpalone kamienie. Para wypełnia mi nozdrza i zmiękcza ciało. Być może ułatwi to zadanie moim mordercom, kiedy nadejdą.

Jestem gotów umrzeć, nie przeraża mnie to. Żyję dłużej, niż na to zasłużyłem. Byłem żołnierzem, dworzanimem i politykiem: żadne z tych zajęć nie służyło z długiego stażu. Kiedy przyjdą moi mordercy — a już idą — wiem, że nie będą zwlekać. Ostatnio są bardzo zapracowani. Nie jestem jedyną osobą, którą muszą zabić. Nie będą mnie torturować: nie wiedzą, o co spytać.

Nie mają pojęcia, co mógłbym im powiedzieć.

Dreszcz przebiega mi po plecach. Nie rozebrałem się — nie chcę umrzeć nagi — i moje ubranie zupełnie przemokło. Wlewam jeszcze wody do basenu i pochylam się nad parą, patrząc przez mgłę na białą-czarnych morskich bogów z mozaiki. Spoglądają na mnie z wyrzutem. Umierający bogowie umierającego świata. Czy wiedzą, jaką odegrałem rolę w skazaniu ich na zapomnienie?

Znów czuję dreszcz. Jestem gotów umrzeć: przeraża mnie tylko śmierć. To, co po niej. Bogowie, którzy umierają wiosną, czasami wracają do życia; starzy ludzie mordowani jesienią — nigdy. Ale

dokąd idą...?

Para gęstnieje.

Całe życie zmagalem się z bogami: z bogiem, który stał się człowiekiem, i człowiekiem, który stał się bogiem. Dziś, pod koniec, spoglądając w zasnutą parą toń, wiem tyle samo o planach bogów wobec mnie, co przed wieloma laty, gdy po raz pierwszy wyjrzałem z kołyski. Wiedziałem tyle samo nawet cztery miesiące temu, pewnego szarego kwietniowego popołudnia w Konstantynopolu, gdy usłyszałem o umarłym, który miał odmienić moje życie. A raczej to, co z niego zostało.

Wokół mnie kłębią się wspomnienia i perła na mojej skórze. Umysł to przedziwna kraina — przedzielona murami, lecz pozbawiona odległości. Nie jestem już w łaźni, ale w innym miejscu i czasie, a mój najdawniejszy przyjaciel mówi...

□ □ □

— ...potrzebuję cię.

Siedzimy w sali audiencyjnej pałacu, wielkiej jak arena, choć pozbawionej publiczności. Jedynym widzem jestem ja. Obaj jesteśmy starzy i lata odcisnęły na nas swoje piętno, ale odkąd pamiętam, podział ról między nami wyglądał tak samo. Zawsze ja oklaskiwałem jego występy.

Tym razem jednak nie oklaskuję. Słucham, jak opowiada mi o śmierci pewnego człowieka, i zastanawiam się, czy mam odpowiednią minę. Po tylu latach służby dworskiej potrafię przywoływać na twarz emocje z taką łatwością, jakbym wyjmował maski z dobrze naoliwionej szuflady, ale nie jestem pewien, czego wymaga obecna sytuacja. Chcę, żeby moja twarz wyrażała szacunek dla zmarłego, lecz niezbyt głęboki — nie zaangażuję się w tę śmierć, choć zostałem o to poproszony. Czy to oznacza, że jestem bezduszny?

— Znaleźli go dwie godziny temu w bibliotece przy Akademii. Gdy tylko zorientowali się, kto to jest, natychmiast posłali wiadomość do pałacu.

Stara się zaintrygować mnie opowieścią, rozbudzić moją ciekawość. Wciąż milczę. Niewielu już żyje ludzi, którzy milczą, gdy on chce, aby mówili. Być może pozostałem tylko ja. Dorastaliśmy jak

nierozłączni bracia; byliśmy synami oficerów tego samego legionu. Jego matka była córką karczmarza, moja praczką. Dziś nosi tyle tytułów, ile klejnotów zdobi jego ciężką szatę. Flawiusz Waleriusz Konstantyn — cesarz, cesar i august, konsul i prokonsul, najwyższy kapłan. Konstantyn Pobożny, Wierny, Błogosławiony i Łaskawy. Konstantyn Zwycięski, Triumfujący i Niezwyciężony. Krótko mówiąc — Konstantyn Wielki.

Nawet dziś, gdy jest dziadkiem u schyłku życia, bije od niego wielkość. Nadal ją czuję. Chociaż jego okrągła twarz, pulchna i przystojna za młodu, porosła dziś tłuszczem i obwisła, a mięśnie, które wywalczyły imperium, zwiotczały, wielkość pozostała. Artyści, którzy portretują go w aureoli, ubarwiają tylko to, o czym wiedzą wszyscy. W tym ciele mieszka władza, nieugięta wiara w siebie, która może pochodzić jedynie od bogów.

— Zmarły miał na imię Aleksander. Był biskupem, ważną postacią we wspólnocie chrześcijan. Podobno uczył jednego z moich synów.

„Podobno uczył jednego z moich synów”... Spowija mnie chłód jak zimny prąd morski, ale zachowuję kamienną twarz. Jego oblicze też niczego nie zdradza.

Nagle bez uprzedzenia rzuca mi jakiś przedmiot. Mam już ociążałe i niezgrabne ruchy, ale zachowałem refleks. Łapię rzecz jedną ręką i otwieram dłoń.

— Znaleźli go obok ciała.

To naszyjnik wielkości niemal mojej dłoni. Misterna sieć oplatająca monogram Konstantyna chi-rho, lśniące nowe złoto wysadzone czerwonymi szklanymi koralikami. Gdy zerwano go z czyjejsz szyi, pękło ogniwo łańcuszka.

— Należał do biskupa?

— Jego sługa twierdzi, że nie.

— A zatem do zabójcy?

— Albo pozostawiono go tam celowo. — Wzdycha z niecierpliwością. — Musisz znaleźć odpowiedzi na te pytania, Gajuszu.

Czuję w palcach chłód naszyjnika, niechcianej pamiątki po zmarłym, którą siłą wepchnięto mi w dłoń. Nadal się jednak opieram.

— Nic nie wiem o chrześcijanach.

— To nieprawda. — Konstantyn wyciąga rękę i dotyka mojego

ramienia. Kiedyś to byłby naturalny i poufały gest. Teraz ręka jest sztywna i powstrzymuje mnie. — Na pewno wiesz, że kotłują się między sobą jak koty w worku. Jeżeli wyślę jednego z nich, połowa jego współwyznawców natychmiast zjawi się u mnie i potępi go jako odszczepieńca i heretyka. Potem druga połowa oskarży pierwszą o to samo.

Kręci głową. Choć sam jest bogiem, nawet on nie potrafi pojąć tajemnic Kościoła.

— Sądziś, że biskupa zabił chrześcijanin?

Jego zaskoczenie wygląda tak naturalnie, że wydaje się niemal szczerze.

— Boże zachowaj! Owszem, plują i drapią, ale nie gryzą.

Nie protestuję. Nic nie wiem o chrześcijanach.

— Jednak ludzie zaczną snuć przypuszczenia. Niektórzy powiedzą, że morderstwo Aleksandra to atak na wszystkich chrześcijan, za którym stoją wrogowie ich wiary. Rany są jeszcze świeże, Gajuszu. Przez piętnaście lat toczyliśmy wojnę domową, żeby zjednoczyć cesarstwo i przywrócić pokój. Państwo nie może się teraz rozpaść.

Słusznie się niepokoi. Zbudował miasto w pośpiechu. Zaprawa jeszcze nie wyschła, a już ukazują się na niej pęknięcia.

— Za dwa tygodnie wyruszam na wyprawę. Za dwa miesiące będę dwa tysiące mil stąd, w Persji. Nie mogę zostawiać tej sprawy otwartej. Potrzebuję kogoś zaufanego, żeby szybko się nią zajął. Proszę cię, Gajuszu. W imię naszej przyjaźni.

Naprawdę sądzi, że w ten sposób na mnie wpłynie? W imię naszej przyjaźni dokonałem rzeczy, których nie wybaczyłyby mi nawet znany z pobłażliwości bóg Chrystus.

— W przyszłym tygodniu zamierzałem jechać do domu do Mezji. Wszystko już przygotowane.

Na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju nostalgii, a oczy zapatrzyły się w dal.

— Pamiętasz tamte czasy, Gajuszu? Kiedy bawiliśmy się na polach pod Niszem? Właziliśmy do kurników i podkradaliśmy jajka. Nigdy nas nie przyłapali, pamiętasz?

Nigdy nas nie przyłapali, bo twój ojciec był trybunem. Nie mówię tego głośno. Wspomnienia starca podważa się na własne ryzyko.

— Powiniennem się tam wybrać, poczuć pod stopami rodzinną ziemię. Pojadę po powrocie z Persji.

— Zawsze będziesz mile widzianym gościem w moich progach.

— Przyjadę, a ty zjawisz się tam wcześniej. Gdy tylko rozwiążesz dla mnie tę zagadkę.

No i proszę. Bóg nie ma czasu na długie dyskusje. Moglibyśmy spierać się godzinami, całymi dniami, ale on zamknął wszystkie argumenty w jednym zdaniu. A mój opór, moje wykręty, moje postanowienie, by się w to nie mieszać, łamią się w jednej chwili, ustępując przed nagłą decyzją.

— Chcesz mieć winowajcę, czy mam się dowiedzieć, kto naprawdę to zrobił?

Zadałem kluczowe pytanie. W tym mieście nie wszystkie morderstwa są przestępstwami. I nie wszyscy przestępcy są winni. Konstantyn rozumie to najlepiej.

— Chcę, żebyś się dowiedział, kto to zrobił. Bądź dyskretny.

Chce prawdy. Potem zdecyduje, co z nią zrobi.

— Jeżeli zacznę pukać do drzwi chrześcijan, otworzą mi?

— Będą wiedzieli, że przychodzisz ode mnie.

Przychodzę od ciebie. Przez całe życie byłem na każde twoje skinienie. Byłem twoim doradcą i przyjacielem; twoim pomocnikiem, gdy trzeba było działać, a ty miałeś związane ręce. Twoją publicznością. Oklaskuję twoje występy. I jestem posłuszny.

Klaszcze w dłonie, a z cienia wyłania się niewolnik. Zapomniałem; w tym mieście zawsze jest jeszcze inna publiczność. Niewolnik niesie dyptyk z kości słoniowej, dwie tabliczki połączone skózanymi pasami. Na pierwszej widnieje kamea cesarza z oczami zwróconymi w górę, w słonecznej koronie na skroniach. Obok widzę znajomy monogram chi-rho, taki sam jak na naszymyniku. Kilka wersów tekstu wewnątrz nadaje mi pełnomocnictwo Konstantyna.

— Dziękuję ci, Gajuszu. — Bierze mnie w objęcia i tym razem między naszymi ciałami starców przepływa jakby ciepło. Szepcze mi do ucha: — Potrzebuję kogoś zaufanego. Kogoś, kto wie, gdzie są pogrzebane ciała.

Wybucham śmiechem; nie mam innej odpowiedzi. Oczywiście, że wiem, gdzie są pogrzebane ciała. Większość grobów kopałem własnoręcznie.